

WŁ. ST. REYMONT.

WIOSNA

108
Dziś *22*

Znak *478*

478



NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

2.209

W. 1988

284



884-3

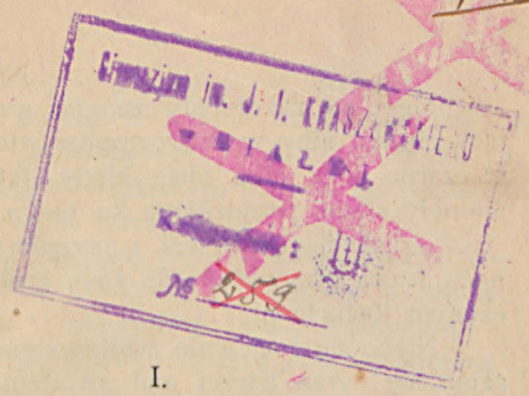
*Reym
Wio
478*

Geprüft und freigegeben durch die Kais. Deutsche Presseabteilung.
Warschau, den 1/V 1916. T. № 866. Dr. № 69.



SKŁADY GŁÓWNE:
W POZNANIU—KSIĘGARNIA M. NIEMIERKIEWICZA.
NEW YORK, THE POLISH BOOK IMPORT. CO. INC.
WSZELKIE PRAWA PRZEDRUKU I PRZEKŁADU ZASTRZEŻONE.
— TŁOCZNIĄ WL. LAZARSKIEGO, MARSZAŁKOWSKA 114. —
1916

AF 28



I.

Czas był wiosenny o świtaniu.
Kwietniowy dzień dźwigał się leniwie z legowisk mroków i mgieł, jako ten parob, któren legł spracowany, a nie wywczasowawszy się do cna, zrywać się ano musi nadedniem, by wnetki imać się pluga i do orki się brać.

Poczynało dzień.

Ale cichość była jeszcze całkiem drętwa, tyle jeno, co rosy kapały rześiście z drzew pośpionych w macie nieprzejrzany.

Niebo, kiej ta płachta modrawa, przejęta wilgotnością i orosiła, przecierało się już ździebko nad ziemią czarną, głuchą i zgoła w mrokach zagubioną.

Mgły niby mleko wzburzone przy udoju zalewały łągi i pola nizinne. Kokoty zaczęły pisać na wyprzódki gdziesik po wsiach jeszcze nie widnych.

Ostatnie gwiazdy gasły kiej oczy, śpiączką morzone.

Na wschodzie zaś, jako zarzewie roztlewające z pod ostyglych popiołów, jęły się rozżarzać zorze czerwone.

Mgły się zakolebały zagnała, wzdęły i ruchający ciężko, niby wody roztopów wiosennych, były w czarne pola, albo zasie kiedy dymy kadzielne, wionęły sinem przedziwem ku niebu.

Dzień się już stawał i przepierał z blednącą nocą, która przywierała do ziem grubym, przemoczonym kozuchem.

Niebo się rozlewało zwolna światłościami, zniżając się coraz bardziej nad światem, że już kajś niekaj wydzierają się na jaśnię czuby drzew, oprzędzone mgłami, a gdzie znów, na wyżach, jakies pola szare, przesiąkle rosą, wyleniały się z nocy; to stawy zamigotały pośleplemi lustrami, albo strumienia kiej długachne, orosiałe przędze wlekły się wskroś mgieł rzednących i świtów.

Dzień się już czynił coraz większy, zorze rozszczały się w martwe siności, że na niebie poczynały gorzeć, jakoby krwawe łuny pożarów jeszcze niedojrzanych, i tak się galanto rozwidniało, iż anobory wyrastały dokoła czarną obręczą, a wielka droga obsiadła rzędami topoli pochyłonych, utrudzonych jakoby *w ciężkim chodzie pod wzgórze, dźwigała się coraz widniej na światłość, zaś wsie, potopione w mrokach przyziemnych, wyzierały gdzieś pod zorze, kieby te czarne kamienie z pod wody spienionej i poniektóre już drzewa, co bliższe, srebrzyły się całe w rosach i brzaskach.

Słońca jeszcze nie było, czuło się jeno, że leda pacierz wylupie się z tych zórz rozgorzałych i padnie na świat, któren dolegiwał ostatków, ozwie-rał ciężko mgławicami zasnutę oczy, poruchiwał się ździebko, przecykał zwolna, ale jeszcze się

lenił w słodkim, odpoczywającym dośpiku, bo cichość padła barzej w uszach dzwoniąca, jakoby ziemia dech przytała—jeno wiater, jako to dychanie dzieciątka cichuśki, powiał od lasów, aż rosy potrząsły się z drzew.

Aż z tej omdlałej szarości świtów, z tych sennych jeszcze, omroczałych pól, jakoby w kościele rozmodlonym i oniemiałym, kiedy dobrodziej ma wznieść na Podniesienie Hostyę Przenajświętszą—wystrzelił zagnała głos skowronkowy...

Wyrwał się gdzieś z roli, zatrzepotał skrzydłami i jał świergotać jako ta z czystego srebra sygnaturka, jako ten wonny pęd wiosniany tlił się w bladym niebie, bił w górę, głośniał, iż w onej świętej cichości wschodów rozdzwaniał się na świat cały.

Wraz i drugie jęły się zrywać, skrzydełkami bić, w niebo się drzeć i śpiewać zawzięcie a poranek głościć wszemu stworzeniu czującemu.

A po nich wnet i czajki zakwiliły jękliwie na moczarach.

Bocki też wzięły klekotać rozgłośnie gdzieś po wsiach, jeszcze nie rozpoznanych w szarościach. Słońce zaś było już ino, ino...

Aż i ono pokazało się z za lasów dalekich, wychylało się z przepaści i kieby tę ogromną, zlocistą i rozgorzałą ogniami patynę wносиły Boże, niewidzialne ręce nad sennemi ziemcami i żegnając światłością świat, żywe i umarłe, rodzące się i struchlałe, rozpoczynało świętą ofiarę dnia, że wszystko jakby zagnała padło w proch przed majestatem i zamilkło, przywierając oczy niegodne.

I oto dzień się stał, jako to nieobjęte morze weselnej światłości.

Mgły, kiej wonne dymy były z łąk ku rozzłocnemu niebu, a ptactwo i stworzenie wszelkie uderzyło w wielki krzyk śpiewań, jakoby w ten pacierz serdecznych dziękczyniń.

Słońce zaś urastało wciąż, wynosiło się nad bory czarne, nad wsie nieprzeliczone, coraz wyżej i wielkie, gorejące, ciepłe, kiej to święte oko miłosierdzia Pańskiego, brało we władną i słodką moc panowanie nad światem.

W ten czas właśnie, na wzgórzu piaszczystem pod lasem, z pod dworskich stogów łubinowych, stojących wpodłe szerokiej i wyboistej drogi, pokazała się stara Agata, komornica ze wsi Lipce.

Powracała ona z żebrów, na któren to chleb Jezusowy była poszła jeszcze w kopania, a teraz-ci z nawrotem do Lipiec ciągnęła, jako ci ptakowie, zawždy wracający o wiosnie do gniazd swoich.

Stare to było, schuchrane, słabe i ledwie dy-chające, iż się widziała jako ta wierzba przydrożna, pokrzywiona, spróchniała, co to się już ledwie tli i domiera w piachach; w łachmanach juści była, z kosturem dziadowskim w ręku, z tobołkami na plecach, obwieszona różańcami.

Wylazła z pod brogów o samym wschodzie i, śpiesznie drepcąc, podnosiła do słońca twarz szarą i wyschlą, jako te płone ugory zeszłoroczne; jeno jej siwe, zaczerwienione oczy rozblyskiwały radością.

Jakże!... po długiej i ciężkiej zimie do swojej wsi rodzonej wracała, to biegła aż truchcikiem, że

ino torbeczki wyskakiwały po bokach i dzwoniły różańce, ale iż ją spierało, a zadychliwość raz wraz chwyciała się bolących piersi, to musiała przystawać, wolnieć i już szła ciężko, z utrudzeniem, jeno temi głodnymi oczyma latając po świecie i pośmiechując się do tych pól szarych, w zielonawe mgły przysłonionych, do wsi wynurzających się zwolna z mgielnych topieli, do tych nagich jeszcze drzew, stróżujących nad drogami, lebo samotne stójki odbywających po polach, do całego świata!

Słońce się już było podniosło na parę chłopów, że dojrzał choćby i najdalsze kraje pól; wszystko błyszczało różaną rosą, czarne role połyskiwały się w słońcu, wody grały po rowach, skowronkowe glosy dzwoniły w chłodnym powietrzu, gdzie zaś, pod kamionkami tliły się ostatnie płyty śniegów, żółte baze na poniektórych drzewach trzęsły się kieby te bursztynowe paciorki, w zaciszach zaś albo i pod nagrzanemi kałużami z pośród rdzawych, zeszłorocznych liści, przedzierały się złotawe źdźbła traw młodych, gdzie znów patrzyły żółte oczy kaczeńców, wiaterek też wziął przygarniać leciuchno i roztrząsał wilgotne, rzeźwe zapachy pól, pławiących się leniwie w słońcu, a wszędy było tak wiosniano, rozległe, jasno, chociaż i jeszczech ździebko szarawo, i taką lubością tchnęło, że już się dusza Agaty wyrывała, by lecieć, jako ten ptak, radością opity, niesie się z krzykiem w cały świat.

— Jezus mój! Jezusiczku kochany! — pojękiwała ledwie, przysiadując nieco i jakby zgarniając ten świat wszystek w roztrzęsione radością i wielce czujące serce.

Hej! zwiesna ci to szła przeciech nieobjętymi polami, skowronkowe pieśni głosiły ją światu, i to słońce święte, i ten wiatер pieszczący, słodki a ciepły, kiej matczyne całunki, i to przytające jaszczech dychanie ziemie tęsknie czekających na pług i ziarno, i to wrzenie wesela unoszące się wszędy, i to powietrze ciepłe, orzeźwiające i jakoby nabrzmiałe tem wszystkim, co wnetki się stanie zielenią, kwiatem i kłosem pełnym.

Hej! zwiesna-ci to szła, jakoby ta jasna pani w słonecznem obleczeniu, z jutrenkową i młodą gębusią, z warkoczami modrych wód, od słońca płynęła, nad ziemiami się niesła w one kwietniowe poranki, a z rozpostartych rąk świętych puszczała skowronki, by głosiły wesele, a za nią ciągnęły zórawiane klucze z klangorem radosnym, a sznury dzikich gęsi przepływały przez błade niebo, że boćki ważyły się nad łęgami, a jaskółki świegotwały przy chatach, i wszystek ród skrzydlaty nadciągał ze śpiewaniem, a kędy tknęła ziemię słoneczna szata, tam podnosiły się drżące trawy, nabrzmiwały lepkie pęki, chlustały zielone pędy i szeleściły listeczki nieśmiałe, i wstawało nowe, bujne, potężne życie, a zwiesna już szła całym światem, od wschodu do zachodu, jako ta wielmożna Boża wysłanniczka łaski i miłosierdzie czyniąca...

Hej! zwiesna-ci to ogarniała przyziemne, pokrzywione chaty, zaglądała pod strzechy miłosierdnymi oczyma, budząc struchlałe, omroczone role serc człowiekowych, że dźwigały się z utrapień i ciemnic, poczynając wiarę na lepszą dołę, na obfitsze zbiory i na tę wytęsknionej szczęśliwości godzinę...

Ziemia się rozdzwaniła życiem, kieby ten dzwon umarły, gdy mu nowe serce uwieszą, serce ze słońca uczynione, że bije górnio, dzwoni, hućczy radośnie, budzi struchlałe i śpiewa takie rzeczy i sprawy, takie cuda i moce, aże serca biją do wtóru weselnego, aże same lzy leją się z oczu, aże dusza człowiekowa zmartwychwstaje w nieśmiertelnych mocach i klęczący ze szczęścia ogarnia sobą oną ziemię, ów świat cały, każdą grudkę napęczniałą, każde drzewo, każeń kamień i chmurę każdą, wszystko ano, co uwidzi i co poczuje...

Tak ci to i czuła Agata, kusztując zwołna i żrąc spragnionemi oczyma tę ziemię kochaną, tę ziemię świętą, że szła jak pijana.

Aż dopiero, gdy sygnaturka zaświegotwała na Lipieckim kościele, kiej ten ptaszek zwołujący na modlitwę, ocknęła stara znagła, padając na kolana.

...iżesz swoją świętą przyczyną sprawił, jakom powróciła...

...iżesz, Panie, pokazał miłosierdzie nad sierotą...

Mogła to mówić! kiej lzy jako ten deszcz rzęsisty zalały jej serce i spływały po wynędzniałej twarzy, że jeno mamrotała cosik, a tak się trzęsła w sobie, że ani weź należć różaniec, ni tych słów pacierza, które się rozsuly po duszy palącą rosą, to porwała się z mocą i poszła, pilnie patrząc po polach i powiadając w głos jakie słowo modlitwy, przypomniane znagła...

Że zaś dzień był już duży i mgły całkiem spadły, Lipce jawiły się przed nią jakby na dłoni, leżały nieco w dole, nad ogromnym stawem, morderczym się kiej lustro z pod białawej a leciuchnej

przysłony, obsiadły wodę kręgiem niskich, szerokich chałup, co jak kumy w sobie wielce podufały, przysiadły w sadach jeszcze nagich, dymy kajś niekaj rwały się nad strzechami, gdzie zaś szyby przeblyskiwały w słońcu, albo bielily wskroś czarniawych sadów świeżo pobielone ściany.

Każdą chałupę można już dojrzeć z osobna. Młyn ano, którego bełkotliwy turkot dochodził coraz żywiej, stał na kraju wsi, przy drodze, którą szła, a naprzeciw prawie, na drugim końcu, kościół wznosił wysokie, białe mury wśród drzew olbrzymich i grał oknami i złotym krzyżem na bani, a wpodłe niego czerwienily się dachówki plebanii. Wokół zaś, jak jeno dojrzeć, stały sinym wiankiem lasy i rozlewały się pola nieprzejrzone, leżały wsie dalekie, wsie, kieby te szare liszki, przywarte do ziemi, a w sady pochowane; drogi kręto powyciągane, kamionki, rzędy drzew przechylonych, piaszczyste wydmy, z rzadka porosłe jałowcami, i wązka przedza rzeczki, ciekącej po łyskliwie i wlewającej się do stawu, między chałupami.

Blżej zaś, dokoła wsi, wielgachnym kręgiem leżały Lipeckie ziemie, pokrajane w pasy, kieby te postawy zgrzebnego płótna, rozciągnięte pod wzgórzem i poćwiartowane na działki. Pola wiły się i wydłużały przy polach, porozdzielane krętami miedzami, na których gęsto rozrastały się grusze rozłożyste, górzyły się kamionki cierniem obrosłe, w złotawem świetle ostro wyrzynały się szare i utyłane kiej ścierki ugory: to płachty zielonawe ozimin, to zeszłoroczne kartofliska czerniały, abo i już latosie podorówki, miejscami zaś, po dołkach, siwiały wody

i wlekły się, kiej to szkliwo roztopione; za młynem rozlewały się łąki rudawe, po których brodziły bociany raz wraz poklekujące, i kapuśniska tak jeszcze pod wodą, że jeno grzbiety zagonów przemiękłych lysniły się kiej piskorze, czajki białobrzusze kołowały nad niemi, a po rozstajach stróżowały święte drzewa krzyżowe i jensze wyobrażenia Pańskie, zaś nad tym całym światem, zakłęśłym ździebko w miejscu, kędy wieś przywarła, wisiało rozgorzałe, złotawe słońce, pobrzmiwały skowronkowe śpiewania, rozlegały się niekiedy od obór tęskliwe ryki bydła, to gęsi gdziesik pokrzykiwały gęgliwie i leciały rozgłośne wołania ludzkie, a wraz i wiaterek tchnął lubym, ciepłym powiewem, zgarniając wszystkie te głosy, że ziemia stawała niekiedy w takiej cichości a zadumaniu, jakoby w tej świętej chwili rodów i poczyńań.

Jeno na polach mało gdzie dojrzał robotę, tyle tylko, co zaraz pod wsią gmerało się kilka kobiet rozrzucających nawóz, że ostry, przenikliwie w nozdrzach wierzący zapach płynął smugą całą.

— Zaspaly próżniaki czy co, dzień taki wybrany, a na rolę mało kto ciągnie... ziemia aż się prosi pluga! — mrucała zgorziona.

I aby być bliżej jeszcze zagonów, zlazła z drogi na ścieżkę, ciągnącą się za rowem, gdzie już czerwone rzęsy stokrotek otwierały się do słońca i gęściej zieleniła się trawa.

Juści że tak pusto było na polach, aż dziwbrał! Przecie dobrze baczyła jako po inne lata, w tę porę to jeno się czerwienilo po zagonach od kiecek i aż się trzęsło od przyspiewek i wrzasków

dzieuszych; rozumiała też, jako przy takiej pogodzie najwyższy już czas do wywożenia gnojów, do podorówek, do siewów, a dzisiaj co? Jeden, jedyny chłop, którego dojrzała gdziesik w pośrodku pól, siał cosik, szedł pochylony i zawracał rozrzucający w półkole jakieś ziarno.

— Musi być, że groch sieje, kiej tak wczesnie... Dominikowej chłopaki, widzi mi się, bo akuratnie tam ich pola wypadają... A niech wama darzy i plonuje Bóg miłosierny, gospodarze kochane!—szeptala serdecznie.

Ścieżka była ciężka, nierówna, zavalona świeżemi kretowiskami, kamieniem, a miejscami błotna, ale nie zwracała na to uwagi, wpatrując się z lubością i rozczuleniem w każdego zagon, w każde półko z osobna.

— Księżę żyto, bujne, sielnie się ruszyło!... Prawda, kiej wędrowalam we świat, orał pod nie rolę parobek, a dobrodziej siedzieli se gdzieś tutaj, bacząc dobrze...

I znowu kusztowała, wzdychając ciężko i łzawo wlokąc oczyma.

— Cie, Płozkowe żyto... musi być późne, albo wymiękło ździebko.

Nachyliła się z trudem, dotykając drżącymi, starymi palcami wilgotnych ździebeł i głaszcząc je z miłością, jakoby we włosy dziecińskie.

— Borynowa pszenica, sielny kawal! Juści!... bo to nie gospodarz pierwszy na Lipce?... ale cosik przyżółta, musiało ją przemrozić, czy co... ciężką zimę tu przeszła... — medytowała, spostrzegając po przyplaszczonych zagonach i wbitych w ziemię

obwalanych mułem źdźbłach ozimin, ślady wielkich śniegów i wód roztopowych.

— Wycierpieli się ludziska niemało, nabiedowali!—westchnęła, przysłaniając oczy dłonią, bo na przeciw, od wsi, szły jakieś chłopaki.

— Juści co Michał organistów z którymś organściakiem. Po wielkanocnym spisie do Woli idą kiej z tylachnymi koszykami... Juści, że nie kto drugi.

Pochwaliła Boga, gdy nadeszli, rada wielce zagadać z nimi coś niecoś, ale chłopcy odburknęli pozdrowienie i przeszli prędko rozgadani ze sobą.

— Dyc od tylich skrzatów bacząc ich, a nie poznali mnie!—Markotność ją przejęła.—Cie! a skądby i taką dziadówkę pamiętały! Ale Michał wyrósł galanto, pewnikiem już dobrodziejowi przygrywa na organach...

Rozmyślała, wpatrując się znowu w drogę, że to wyszedł ze wsi Żyd jakiś, pchając przed sobą sporego cielaką.

— A od kogo to kupione?—zagadnęła.

— Od Kłębowej!—odparł, mocując się z białoczerwonym ciółkiem, którego się opierał, zawracał i pobekiwał żałośnie.

— To ani chybi po granuli... juści... pognała się była jeszcze przed żniwami... a może i po siwej... Sielny ciołek...

Obejrzała się za nim z gospodarską lubością, ale już ich nie było na drodze: ciołek wyrwał się z rąk, skoczył na pole i podniósłszy ogon, rwał ku wsi, na przelaj, a Żyd z rozwianym chałatem zabiegał mu drogę.

— W ogon go pocałuj, a poproś pięknie, to ci wróci... — szepnęła z kulantnością, przyglądając się gonitwie.

— A i na Kłębowych morgach ni żywej duszy! — zauważyła przytem, ale nie było już czasu na pomyślunki: wieś była już tak blisko, że poczuła zapach dymów i dojrzała po sadach wietrzące się pierzyny, to jeno ogarniała oczyma wieś całą, i najgłębsza, wdzięczna radość zatrzęsała jej sercem, że to Jezus pozwolił dożyć tej zwiesny i powraca ją oto do swoich, powraca do rodzonych.

A przeciech mogła zamrzeć zimą, między obcymi, chorzała bowiem ciężko, ale Jezus ją powrócił...

Dyc tem ano żywiła duszę przez długą zimę, tem się jeno krzepiła w każdej godzinie i tem się bronila od mrozów, nędzy i śmierci...

Przysiadła pod krzakami, aby się ździebko przygarnąć, nim wejdzie, ale miała to siły, kiej ją tak rozebrała radość, że każda kosteczka trzęsła się z osobna i serce tłukło się boleśnie niby ten ptak duszony?

— Są jeszczech dobre i miłosierne ludzie, są... — szepnęła, opatrując troskliwie torbecki? jakże: uciulała sobie tyła, że musi starczyć na pochówek.

Przeciech od dawnych już lat o tem jeno deliberowała i w to całą duszę kładła, że skoro śmierci porę Pan Jezus spuści, aby się to mogło stać we wsi swojej, w chałupie, na łóżku zaslanem pierzynami, pod rzędem obrazów, tak, jako umierały gospodynie wszystkie. Całe życie zbierała na chwilę oną świętą i ostatnią.

Miała ci już u Kłębów na górze skrzynię, a w niej pierzynę sporą, poduszki i prześcieradła, i wsyпки nowe, a wszystko czyste, nieużywane zgoła, by nie marać, zawsze mieć gotowe, no i że nie było gdzie rozłożyć tej pościeli. Miała to kiej swoją izbę albo i łóżko? Kątem zawždy, na barłogu jakim, to w obórce, jak się zdarzyło, i kaj ludzie dobre pozwolili przytulić głowę. Nie cisnęła się ta ona nigdy na przód, między możne i władne, nie wyrzekała na dolę, bo wiedząca była dobrze, że wszystko urządzenie na świecie z woli Bożej pochodzi, a nie zmienić go człowiekowi grzesznemu.

— To se jeno tajnie, pocichusku, przeprasząc Boga za pychę, o tem jedynie marzyła, by mieć gospodarski pochówek, — o to jeno prosiła lękliwie...

Nie dziwota więc, że skoro się teraz przywlekle do wsi ostatkami sił, czując, że już ten czas ostatni przychodzi na nią, to wzięła sobie przypominać, czy aby czego nie przepomniała.

Ale nie, wszystko miała potrzebne — gromnicę niesła z sobą, co ją ano wyprosiła, stróżując jakiegoś umarlaka, i buteleczkę z wodą święconą miała, i nowe kropidło kupiła, i obrazik poświęcany Częstochowskiej, jaki musi mieć w ręku w skonania godzinie, i te kilkadziesiąt złotych na pochówek... a może i starczy na mszę świętą przy trumnie, ze światłem i pokropieniem choćby w kruchcie! Juści, że i myśleć nie śmiała, by ją ksiądz eksportował na cmentarz.

Gdzieby zaś to mogło być!... Nie kaźden go

spodarz dostępuje takiego honoru i szczęścia, a przytem i wszystkich pieniędzy na to jednoby nie starczyło!

Westchnęła żałośnie, podnosząc się na nogi.

Dziwnie jednak zastała, kłóło ją w piersiach, kaszel męczył, że ledwie się mogła ruchać, odpoczywając co chwila.

— Żeby choć do sianokosów dociągnąć, albo i do żniw pierwszych—marzyła, słodko przywierając oczyma do chałup coraz bliższych.

— A potem już się położę i zamrę ci, Jezu kochany, zamrę... — jakby się tłómaczyła lękliwie z tych grzesznych nadziei.

Ale wraz spadła na nią troska: kto to ją przyjmie do chałupy na ten czas skonania?

— Poszukam se dobrych i czujących ludzi, a może i jaki grosz przyobiecam, to się łacniej zgodzą... Juści! komu ta niewola kłopotać się cudzymi, a chałupę sobie mierzić.

Aby się to mogło stać u Kłębów, krewniaków, nawet pomyśleć nie śmiała.

— Tylachna dzieci, w chałupie ciasno, a to i drób teraz się lęgnie, i trza mu miejsca, i nie honor byłby dla takich gospodarzy, by pod ich dachem krewniackie dziadówki pomierały...

Rozmyślała bez żalu, wchodząc na drogę, biegnącą po grobli wyniesionej nieco, by chronić staw od wylewów na niskie łąki a kapuśniska.

Młyn stał pobok grobli, jeno tak nisko, że omączone dachy wystawały nieco nad drogą, trząsł się cały i z głuchym łoskotem pracował.

A z lewa staw świecił się ano, słońce wlekło

się złotymi włosami po cichej rozmodrzonej od nieba wodzie, na brzegach obrosłych przychylnemi olchami, trzepały się z krzykiem gęsi, na drogach zaś, jeszcze nieco błotnych, dzieci przeganiały stadami, pokrzykując z uciechy.

Lipce ano siedziały z obu stron stawu jak przódzi, jak zawdy chyba od początku świata, całe w sadach rozrosłych a w opłotkach.

Agata wlekła się z trudem, chyżo jeno biegnąc oczyma, a wszystko widząc. W młynarzowym domu, co stał odsunięty od drogi, a podobien się zdał choćby i do dwora jakiego, przez wywarte okna powiewały białe firanki, a sama młynarzowa siedziała przed progiem w pośrodku piskliwego stada gęsiąt żółciuchnych kiej z wosku, które przygarniała.

Pochwaliła stara Boga i przeszła cicho, rada, że jej nie poczuły psy, wylegające się pod ścianami.

Przeszła most, pod którym woda z hukiem przewalała się na młyńskie koła; drogi stąd rozchodziły się kiej ręce, ogarniające cały staw.

Kolebała się w sobie przez chwilę, ale chęć obejrzenia wszystkiego przemogła i wzięła się na lewo, dłuższą nieco drogą.

Kuźnia, stojąca pierwsza zaraz z brzegu, była zamknięta i głucha; jakiś przodek od wozu i nieco zardzewiałych pługów leżało pod ścianami okopconemi, ale kowala ani widu, jeno kowalowa rozdzielona do koszuli, kopała grządki w sadzie wzdłuż drogi.

Przystawała teraz przed każdą chałupą, wspierając się o niżkie, kamienne płoty i przeglądając ciekawie obejścia, opłotki, wywarte sienie i okna.

Psy ujadaly na nią niekiedy, ale obwąchawszy i jakby snadź poznając swojaczkę, wracały legać na przyzby, w słońce.

A ona-ci teraz szła wolniusko, krok za krokiem, ledwie dychając z utrudzenia, a bardziej i z uciechy serdecznej.

Sunęła się tak cichusko jako ten wiaterek, który raz po raz powiewał po stawie i gmerał w rudych baziach olch, a szara była i niewidna kiej te płoty albo ta ziemia miejscami już przesychnąca, albo zaś kieby ten chudy cień, od drzew nagich padający na ziemię, że jakby jej nikt i nie spostrzegł.

A radowała się całym sercem, że wszystko tak znajduje, jako i była zostawiła jesienią.

Śniadania musieli warzyć, bo kurzyło się z kominów, a gdzieniegdzie z wywartych okien buchały zapachy gotowanych ziemniaków.

Choć to i dzieci krzykały tu i owdzie, albo i gęsi stróżujące przy gąsienicach, podnosiły często strwożone gęgoty, a dziwnie cicho i pusto było we wsi.

Słońce się już ano podniosło na pół drogi do południa i siało kieby tem szczerem złotem i jęło się przegłądać w stawie, a nikt się jeszcze nie kwapił w pole, żaden wóz nie turkotał z opłotków, ni poskrzypowały pługi, ciągnięte na rolę.

— Na jarmarek musiały pojechać, albo co? — myślała, baczniej się jeszcze rozglądając po chałupach.

Wójtowe stodoły zółciły się nowym drzewem z pośród sadów bezlistnych, a Gulbasowa chałupa,

obok stojąca, miała oberwane poszycie, że łaty dachu widać było kiej te żebra nagie.

— Wiatry zerwały, ale wałkoniowi nie chciało się naprawić! — mruzczała.

Wpodle zaś Pryczki siedziały w starej pokrzywionej chałupinie, z powybijanych szyb wyzierały słomiane wiechcie.

A oto i sołtysowa chałupa, szczytem do drogi, na starą modę.

Za nim tuż Płoszków dom, na dwie strony zamieszkanym.

Potem Balcerków posiedzenie: poznałaby nie wiem gdzie, bo dom był znaczny, że to dzieuchy popstrzyły wapnem szare ściany i pofarbowały ramy okien na niebiesko.

A tam znów, w szerokim, starym sadzie rozsiadły się Boryny, pierwsze gospodarze i bogacze lipeckie. Słońce jeno grało w czystych szybach; ściany jaśniały jakby z nowa pobielone; obejście było obszerne, budynki w rząd stawiane, a proste i tak galante, że niejedyn i chałupy takiej nie miał, płoty całe i wszystko w takim porządku, kieby u jakiego Olendra na koloniach a lepiej nie było.

A dalej dom Gołębiów.

I inszych, które wszystkie jako ten pacierz na pamięć wiedziały. Ale wszędy jednako było cicho pusto, jeno w sadach czerwienily się pościele wietrzne i różny przyodziewek, a jeno gdzie niegdzie uwijały się porożdziewane do koszul kobiety, przy kopaniu grządek.

W zacisznych miejscach sadów, kapuściane

wysadki już puszczały zielone warkocze z ognilych łbów, to zaś pod ścianami one lilije wyrastały z szarej ziemię blademi kłami, rozsady wschodziły pod przykrywą tarniowych gałązek, drzewa stały w nabrzmiąłych, lępkich pąkach, a wszędzie pod płotami burzyły się pokrzywy i chwasty różne i krze agrestowe, obwiane były jasną, młodziuchną zielenią.

A choć to i najprawdziwsza zwiesna siała się prosto z nieba i tętniąca była w każdej grudce ziemi napęczniałej, a tak jakoś smutnie się widziało w Lipcach, cicho i dziwnie pusto.

— A chłopca to ni na lekarstwo nigdzie. Nic, jeno na sądy poszły, albo na zebranie je zwołały.

Tłómaczyła tak sobie, wchodząc do kościoła, otwartego naroścież.

Po mszy już było, dobrodziej spowiadał w konfesyjale, kilkanaścioro ludzi z dalszych wsi siedziało w ławkach w cichości a skupieniu, że jeno chwilami ciężkie wzdychy rwały się na kościół, albo to jakie słowo pacierza głośniejsze.

Od lampki płonącej, uwieszanej na sznurze przed wielkim ołtarzem, wlekły się pasma dymów niebieskawych ku wysokim oknom, przez które padało słońce; za szybami ćwierkały wróble, fruując niekiedy pod nawami ze żdźbłami w dziobach, a czasem jaskółki wpadały ze świegotem przez wielkie drzwi, pokołowały błędząco w cichościach i chłodach murów, i uciekały chyżo na świat jasny.

Zmówiła jeno krótki pacierz, tak już było jej pilno do Kłębów, ale przed kościołem zaraz spotkała się oko w oko z Jagustynką.

— Jagata!—krzyknęła tamta z wydziwem nie-małym.

— Dyc żywie jeszcze, gospodyni! żywie! — Chciała ją w rękę pocałować.

— A powiedali, żeście już nogi wyciągnęli gdziesik w ciepłych krajach... Ale wama ten letki chleb Jezusowy na zdrowie nie poszedł, bo coś mi na księżą oborę patrzycie...—mówiła, szydlwie ją rozglądając.

— Wasza prawda, gospodyni... a tom ledwie już dowlokła kosteczki... dojdę se już pomaluszku a wrychle, dojdę...

— Do Kłębów śpieszycie?

— A gdzieżbym to szła. Krewniaki przeciech...

— Radzi was przyjmą, torbeczki dygujecie niezgorsze, a jakiś grosz też być musi w supelkach, to juści, że chętnie przypuszczą waju do krewniactwa.

— Zdrowi-bych są? nie wiecie?—markotne jej były te przekpinki.

— Zdrowi... jeno Tomek, że słabował ździebko, to się teraz lekuje w kreminalu.

— Kłab! Tomasz! Nie powiedajcie, bo mnie nie do śmiechu!

— Rzekłam, a dołożę, że nie sam siedzi, a z dobrą kompanią, bo z całą wsią... I morgi nie pomogą, kiej sąd przyśkrzybnie drzwiami a okratuje.

— Jezus Marya Józefie święty!—jęknęła jako słup stając w zdumieniu.

— Bieźcież rychlej do Tomkowej, to się tam napasiecie nowinkami barzej drujkami niżli miód. Hi, hi! świętują se chłopcy aż miło! — zaśmiała się urągliwie, a zle jej oczy strzelly nienawiścią.

Agata powlekła się ogłuszona, nie mogąc jeszcze uwierzyć w słyszane, spotkała kilka znajomych kobiet, które ją przywitały dobrem słowem, zagadując o tem i owem, ale jakby nie słyszała pogwary, rozdygotana w sobie strachem coraz zjadliwszym, że już z umysłu przywalniała, bych jeno opóźnić sprawdzenie tych nowin piekących. Długo siedziała pod sztachetami plebanii, bezmyślnie patrząc na księży dom. Na ganku stał bociek na jednej nodze i jakby naglądał psów, baraszkujących po żółtych uliczkach ogrodu, a Jambroży z dziewczką okładali nową darnią boki klombu, któren się już rudział kieby szczotką żelazną, temi młodemi chlustami kwiatów przeróżnych.

Dopiero wzmógłszy się na siłach, chyłkiem ruszyła w opłotki Kłębowego domu, stojącego tuż w rząd z plebanią.

Z dygotem juści szła, czepiając się płotów i latając przetrwożonemi oczyma po sadzie i chałupie, siedzącej w głębi, ale jeno krowy pod oknami chlipały głośno z cebratek, sień wywarta była na przestrzał, że dojrzała maciorę z prosiętami, wylegujące się w błocie podwórza, i kury, pilnie grzebiące w gnoju.

Podjąwszy próżną już cebratkę, bo śmieiej było jej z czemścić w garści wejść, wsunęła się do wielkiej, mrocznej izby.

— Niech będzie pochwalony! ledwie wykrztusiła.

— A na wieki! Kto tam? — ozwał się po chwili zalekliwy głos z komory.

— Dyc to ja, Agata! — Jezus, jak ją spierało pod piersiami!

— Agata! Widzieliście-no, moi ludzie! Agata! — gadała prędko Kłębowa, ukazując się na progu z pełną zapaską piszczących gąsiąt, stare zaś z sykkiem i gęgotem dyrgały za nią. — No to chwala Bogu! A powiadali ludzie, jakoście jeszcze na gody pomarli, nie wiada było ino kaj, że nawet mój zbierał się do kancelaryi na przewiady. Siadajcież... strudzeni pewnikiem jesteście. Gęsi się ano legną...

— Pieknie się wywiedły, kiej ich aż tyła!

— A będzie kopa bez mała, przez pięciu. Chodźcie przed dom, bo trza ich podkarmić i przypilnować, aby stare nie stratowały.

Wybrała je starannie z zapaski na ziemię, iż zaroily się kiej te żółciuchne pępuszki, a stare jęły radośnie gęgotać a wodzić nad nimi dziobami.

Kłębowa wyniesła na deseczce posiekanego jajka wraz z pokrzywami i kaszą i przykucnęła przy nich, pilnie bacząc, bo stare kuły w drobiazg, tratowały i kradły jedzenie, jak ino mogły, rejwach czyniąc krzykliwy.

— Siodłate wszystkie będą — zauważyła, siadając na przyzbie.

— Juści, a z wielkiego gatunku. Organiścina odmieniła mi jaja, że trzy swoje dawałam za jedno... Dobrze, iżeście już ściągnęli do chałupy... roboty tyła, że niewiada gdzie przódzi pazury zaczepić.

— Zaraz się wezmę do roboty, zaraz... jeno mocy nieco nabierę... chorzałam i całkiem się wyżyłam z sił... ale niechaj ino wydycham... tozaraz...

I chciała się podnieść, chciała iść... by się

wziąć za robotę jaką, ale chudzina jeno się potoczyła na ścianę i z jękiem padła.

— Do cna, widzę, zwątleliście, nie do roboty już wama, nie!—rzekła ciszej, rozpatrując jej twarz siną, obrzękłą i dziwnie pokurczoną postać.

Zakłopotala się tym oglądem i stropiła, że nie tylko wyręki mieć z niej nie będzie, ale gotów się jeszcze kłopot nawiązać.

Snać przeczuła to Agata, bo się lękliwie, przepraszająco ozwała:

— Nie bójcie się, nie będę waju zawałala miejsca, ni cisnęła się do miski, nie, wydychne se ino i pójdę... chciałam jeno obaczyć wszystkich... popytać... ale se pójdę...—Lzy cisnęły się do oczu.

— Nie wyganiem was przeciech, siedźcie, a wola wasza będzie iść, to se pójdziecie...

— A kaj to chłopaki? pewnikiem w polu z Tomkiem?—zapytała wreszcie.

— To nic nie wiecie? Adycь wszystkie w kreminala!

Agata jeno ręce spleła w niemym krzyku boleści.

— Powiedziała mi już to słowo Jagustynka, jeno uwierzyć nie mogłam.

— Najczystsza prawdę wam rzekła, tak ci jest, tak!

Wyprostowała się na te wspominki, a po wynędznialej twarzy posypały się ciężkie łzy.

Agata patrzyła w nią, jak w obraz, nie śmiejąc już dopytywać.

— Mój Jezu! Sąd ci tu był we wsi ostateczny, kiej ano wzięli wszystkich i do miasta powie-



dli, ostatnia godzina, powiadam wam, że dziś, jako żywię jeszcze i ten dzień jasny oglądam! A to już jutro będzie całe trzy tygodnie, a mnie się widzi, jakby to wczoraj się stało. Ostał jeno w chałupie Maciek, wiecie, i dzieuszyska, które teraz gnój powieźły w pole, i ja sierota nieszczęsna!

— A poszły! ścierwy... to własne dzieci traktują, jako te świnię!—krzyknęła naraz na gęsi: — Pilusie, pilu, pilu, pilu!

Nawoływała gąsięta, bo całem stadem, z matkami na czele, ruszyły w opłotki.

— Niech się zabawią, gap nikaj nie widać, przypilnuję bacznie.

— Ruchać się nie możecie, a gdzie wam za gąsiętami biegać!...

— Już me ździebko chorość odeszła, skorom jeno w te progi stąpiła.

— To pilnujcie... narządę wama co jeść... a może mleka uwarzyć?

— Bóg wam zapłać, gospodyni, ale sobota to ci wielkopostna, to z mlekiem jeść mi się nie godzi... wrzątku dajcie jaki garnuszek, chleb mam, to sę wdrobię i pojem galanto.

Jakoż Kłębowa wnet jej przyniesła osolonego wrzątku na miseczce, w któren stara wdrobiła chleb i pojadała zwolna, dmuchając w łyżkę, a Kłębowa zaś przysiadła w progu i, oganiając oczyma gąsięta, skubiące pod płotami, znowu powiedziała:

— O las poszło. Dziedzie sprzedał go jujomo przed Lipcami Żydom. Jeli go wnet rabać! Krzywda była taka i sprawiedliwości znikąd, to i co miały począc? do kogo iść ze skargą? A do



tęgo zawiązał się na cały naród, że ni jednego kormornika ze wsi do roboty nie zawołał. Zmówili się też i całą wsią poszli swojego bronić, ile ono narodu było. Powiedali, że wszystkich karać nie pokarzą, jeśliby na to przyszło, ale nikt o tem nie pomyślał, bo jakże? za co to miell karać? przeciech o swoje jeno zabiegali. Poszli do poręby, pobili rębaczów, że po dobrej woli nie ustąpili, pobili dworskich i wszystkich ano z boru wygnali... Na swoim postawili, a po sprawiedliwości, bo póki z lasu nie wydziela, co jest czyje; ruchać go nikt prawa nie ma. Ale się dużo przytem pomarnowało naszych, starego Borynę przywiezli z rozlupaną głową: Borowy-ci go tak uszlachtował, a tego-ci znowuj Antek Boryniak zakatrupił za ojca.

— Jezus! zakatrupił, na śmierć?!

— Na śmierć, a stary do dzisiaj ano choruje i bez rozumu zgoła leży, juści, on najbardziej ucierpiał, ale i drugie też niemało: Szymek Dominikowej miał przetrącony kulas, Mateusz Gołąb był tak pobity, że go aż przywieźć musieli, Płoszce Stachowi rozwalili łeb, a drugim dostało się też dosyć, że i nie spamiętać co i komu! Nikto się tem zbytńio nie frasował, ni narzekał, bo swoje dokazali, wrócili też bujno, ze śpiewami, kiej po tej wojnie wygranej, całą noc w karczmie z uciechy pili, a barzej pobitym gorzałkę do chałup nieśli.

A na trzeci dzień jakoś, w niedzielę, śnieg padał mokry, i zrobiła się taka plucha od samego rana iż trudno było nosa wyszcibić na dwór. Zbieraliśmy się właśnie do kościoła iść, kiedy Gulbasowe chłopaki poczęły na wsi krzyczeć: „Strażniki jadą!“

Jakoż może w pacierz przyjechało ich ze trzydziestu, a z nimi urzędniki i cały sąd, rozłożyli się na plebanii. No, że już nie wypowiem, co się działo, kiej zaczęły sądzić, wypytywać, zapisywać, a naród po kolei brać pod stróżę... Nikto się nie opierał, kaźden pewny był swojego, a wszystkie kiej na spowiedzi przyświadczały i prawdę szczerą mówili. Dopiero pod wieczór skończyli, i chcieli zrazu całą wieś, wraz ze wszystkimi kobietami brać, ale podniósł się taki krzyk a ten płacz dzieciński, że chłopcy już się za kołami oglądali... Dobrodziej musiał cosik przełożyć starszym, że nas poniechali, nawet Kozłowej, silnie wygrażającej wszystkim, nie wzięli, chłopów jeno samych zabrali do kreminau, Antka zaś Borynowego, w postronki przykazali wiązać!

— Jezus! w postronki przykazali wiązać!

— I związali, ale porwał ci je, kiej te nicie nadgnile, aż się przelękły wszystkie, bo wydał się, jakby mu dur do łba przystąpił, albo i zły opętał, a on stanął przed niemi, a w oczy im rzekł:

— Skujcie mię mocno w kajdany i pilnujta, bo wszystkich zakatrupię i sobie co złego zrobię...

Tak się ano zapamiętał, że mu ojca zabili, sam ano ręce podał w żelaza, sam nogi nastawił i tak go powieźli...

— Jezu mój miłościwy! Maryja!—jęczała Agata.

— Widzę zawdy i do samej śmierci nie zabaczę, jak ich brali...

— Wzieni mojego z chłopakami... wzieni Płoszków...

— Wzieni Pryczków...

— Wzieni Gołębiów...

— Wzieni Wachników...

— Wzieni Balcerków...

— Wzieni Sochów... a tyła jeszczech drugich wzieni, że więcej niżli pięćdziesiąt chłopą popędzili do kreminalu...

Że i rozum ludzki nie poradzi wypowiedzieć, co się tutaj działo... jakie płacze się krwawiły, tych wrzasków lamentliwych... ni tych przekleństw strasznych.

A tu zwiesna nadeszła, śniegi rychło spłynęły, role podeschły, ziemia aż się prosi o obróbkę, czas na orki, czas na siewy, czas na wszystkie roboty, a robić niema kto!

Wójt jeno ostał, kowal i tych kilku staruchów ledwie się ruchających, a z parobków jeden ino głupawy Jasiek Przewrotny!

A tu i czas przychodzi rodów, że już poniektóre zległy, krowy się też ciela, łągi wszędzie, o chłopach też trza myśleć i podwozić im to pożywienie, to grosz jaki, albo i tę czystą koszulę, a roboty innej tyła, że już i niewiada za co się przódzi brać, samym przeciech nie uradzi, a najemnika dostać nie można po drugich wsiach, boć kuźden sobie przódzi obrobić musi...

— Nie puszcza ich to rychło?

— Bóg ta wie kiedy! Jeździł do urzędu ksiądz, jeździł i wójt, i powiedają, że kiej śledztwa skończą, to ich popuszczają, że to sądy mają być później, ale już trzy niedziele przeszło, a jeszcze ni jeden nie wrócił. Rocho też we czwartek pojechał dowiadywać się.

— Boryna żywie to jeszcze?

— Żywie, jeno ledwie dycha i do rozumu nie przychodzi, jako ten klocek leży... Zwoziła Hanka dochtorów, to znających się, nic nie pomaga...

— Juści, pomogą tam dochtory, gdzie chto na śmierć chory!

Zmilkły, wyczerpane wspominkami. Kłębowa zapatrzyła się wskroś sadu, na daleką topolową drogę, wiodącą do miasta i poplakiwała z cicha, nos ciągiem ucierając...

Potem zaś, krzątając się pilnie kiele narządzania obiadu, opowiadała zwolna wszystko, co się stało we wsi przez zimę, a czego Agata zgoła nie wiedziała.

Aż stara rozpletła ręce i pochyliła się ku ziemi ze zgrozy i zdumienia, bo te nowinki kiej kamienie spadały na nią i przejmowały duszę taką zgryzotą i bólem, że chlipać cicho poczęła.

— Mój Boże, tam we świecie ciągiem myślałam o Lipcach, ale żeby takie sprawy się działy, to mi nawet i do rozumu nie przychodziło... a tórnawet póki życia długiego i nie słyszała o podobnem! Zle się tutaj usadziło na dobre, czy co?

— Juści, że jakby na to przychodziło!

— A może jeno dopust Boży za złość ludzką i grzechy!

— Pewnie, że nie inaczej. Pan Jezus karze choćby za takie śmiertelne grzechy, jako to Antka z macochą. Nowe zaś przewiny idą, stają się na wszystkich oczach!...

Już Agata bojała się rozpytywać o więcej, tylko podniosła roztrzęsioną rękę i jęła się śpiesznie żegnać, pacierz mamląc gorący!

— Nieszczęście takie padło na cały naród i Boryna też leży bez duszy, a powiedają,—ściszyła głos, obzierając się strachliwie — jako Jagusia już się na dobre z wójtem sprzęgła... Nie stało Antka, brakło Mateusza, brakło i drugih parobków, to dobry pierwszy z brzega, byle jeno wygodził... O świecie, świecie!... — jęknęła, załamując ręce ze zgrozy.

Stara się już nie ozwała, poczuła się zagnęta utrudzoną i tak przejętą temi nowinkami, że powlekła się do obórki wypoczywać.

Dopiero o samym zachodzie dojrzeli ją wlokącą się na wieś do znajomków, powróciła zaś kiej już u Kłębow siedzieli przy wieczerzanych miskach.

Łyzka na nią czekała i miejsce, juści nie pierwsze, ale zawždy nie ostatnie, bo przy Kłębowej, jeno że pojadała mało wiele, kiej to dzieciątko przebierne, pogadując z cicha o świecie, to o tych odpustowych miejscach, które była schodziła, aż się niemało temu nadziwowali.

Zaś kiej już noc zapadła, że nawet i zorze grające po szybach przygasły i wieś do cna ogłuchła, zapalili w izbie światło i jęli się zwolna do snu sposobić, wtedy Agata wyniesła swoje torbeczki pod światło, wyjmując zwolna różne różności, jakie przyniosła.

Otoczyli-ci ją zwartem kołem, tając przydechy i dziw jej nie zjadając rozgorzałemi oczyma.

A ona najpierw po obraziku poświęcanym rozdała każdemu, potem zaś sznury paciorków dziwuchom, a tak pięknych, że ino grały farbami,

wrzask się bez to uczył w izbie, tak jedna przez drugą cisnęły się do lusterka, przymierzając, cieszyć się sobą i szyję wzdymać kiej te indory napuszone, a to i koziki sielne, prawdziwe misiarskie znalazły się la chłopaków, i cała paczka machorki dla Tomasza, w ostatku i la Kłębowej wyjęła fryzkę szeroką, wzburzoną i kolorową nicią obdzierganą, że gospodyni aż wręcz plasnęła z wielkiej kontentności...

I wszyscy radowali się niemało, nie raz i nie dwa oglądając te śliczności i ciesząc oczy podarunkami, a ona rada wielce, z niemałą lubością powiedała, co ile kosztuje i gdzie to kupione.

Długo w noc przesiedzieli, poredzając jeszcze o nieobecnych.

— Aż strach za grdykę łapie, tak cicho na wsi! — zauważyła w końcu Agata, gdy przymilkli i opadło ich głuche, martwe milczenie. — Gdzie to po inne roki, w tym zwiesnowym czasie, to aże się wieś trzęsła od wrzasków i śmiechów!...

— Bo jako ten grób otwarty widzi się cała wieś, że jeno kamieniem przywalić i krzyże postawić... że nawet pacierza nie będzie miał kto zmówić, ni na mszę dać... — potwierdziła smutnie Kłębowa.

— Prawda! Pozwolicie, gospodyni, tobym ano na górkę poszła, kości me bolą po drodze i oczy już śplk morzy.

— A śpijcie, gdzie wama do upodoby przegnąć, miejsca nie brakuje.

Stara wnet pozbierała sakwy i jęła się w sion-

ce skrobać po drabce, gdy Klębowa zaczęła mówić za nią przez wywarte drzwi:

— Hale! małam nie zabaczyła wama powiedzieć, że wzielim waszą pierzynkę ze skrzyni... Marcycha chorzała w zapusty na krosty... ziąb był taki, przyodziać nie było czem... tośwa se pożyczli od waju... pierzyna już wywietrzona i choćby jutro a zanie sie ją na górę...

— Pierzynę... wasza wola... juści, kiej było potrza... juści...

Chyciło ją tak cosik za gardziel, że urwała; dowlekła się poomacku do skrzyni, przykucnęła i podniósłszy wieko, jęła śpiesznie drżącemi rękoma błądzić i obmacywać swoje wiano śmiertelne...

Juści... pierzyny nie było... a nową całkiem ostawiła... w czystem obleczeniu... ni razu nie używaną... dyc ją z tych należnych piórek po pastwiskach uścibała... byle mieć na tę ostatnią skonania godzinę...

A wzieni ją... wzieni...

Płacz ją taki chycił, żałościwości pełen, że dziw jej serce nie pękło.

I długo pacierz mówiła, łzami go polewając gorzkimi, długo płakała i boleśnie a cichusko skarżyła się Jezusowi kochanemu na krzywdę swoją...

Noe musiała już być duża, bo ano kury płac zaczynały na północek, albo i na odmiane

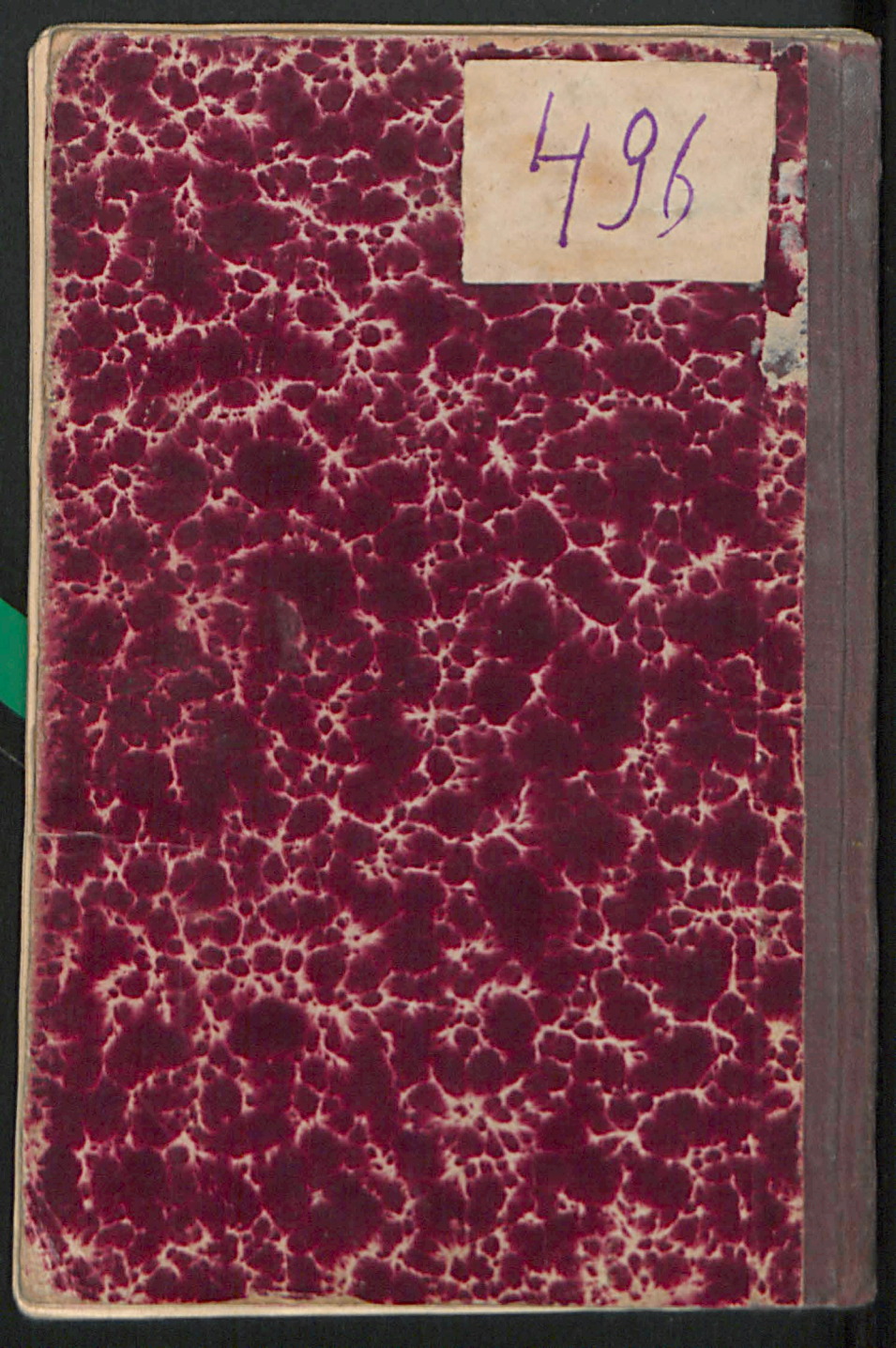
Drzew 11
Znaczek 496
20 lipca 478

W BIAŁEJ

Kalendarz

~~20 22~~



The image shows the front cover of an old book. The cover is decorated with a dense, repeating pattern of small, irregular, dark red or maroon spots on a lighter, cream-colored background, creating a marbled effect. In the upper right corner, there is a small, rectangular, off-white paper label with the number '496' written on it in a dark blue or purple ink. The book's spine is visible on the right side, appearing to be made of a dark, possibly black or dark brown, material. The edges of the book show some wear and slight discoloration, particularly at the corners and along the spine.

496